

Recenzje cenzorskie pierwszych powieści KONWICKIEGO*

W Archiwum Akt Nowych w Warszawie odnaleźć można recenzje książek pochodzących z pierwszych dwóch dekad wojennej Polski, które napisali pracownicy pionu Publikacji Nieperiodycznych Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (GUKPPIW) w ramach swoich codziennych obowiązków. Najbardziej skomplikowana, wielostopniowa i zapewne czasochłonna była kontrola w okresie stalinizmu. Nadmierną biurokracją, uniemożliwiającą często skuteczne sprawdzanie książek, zaczęto redukować w latach sześćdziesiątych i kolejnych dekadach. Zresztą już w połowie lat pięćdziesiątych odnotować można ograniczenie działalności recenzenckiej cenzorów. Recenzje pisane w następnych dekadach zachowały się tylko we fragmentach, w specjalnych biuletynach wewnętrznych GUKPPIW mających pełnić funkcje instruktażowe.

W okresie gdy odrzucono Konwickiemu najpierw *Rojsty* (powst. 1948, wyd. 1956) i *Nowe dni* (powst. 1948, nigdy niepublikowane w całości), potem *Z obłąkanego miasta* (powst. 1954, wyd. 1956), książki podlegały w urzędzie przy Mysiej aż trzykrotnemu sprawdzaniu. Cenzorzy wydawali zgodę najpierw

na skład, potem na druk, wreszcie na rozpowszechnianie. W pierwszym etapie wyznaczony pracownik czytał maszynopis i wyrażał zgodę na skład. Najprawdopodobniej wtedy właśnie powstawały recenzje książki, pisane dla pierwszego wydania przez dwóch cenzorów. Jeśli książka budziła wątpliwości partyjnych decydentów lub gdy oceny były sprzeczne, zarządzano powtórne zrecenzowanie jej przez wyższego rangą pracownika. Tak stało się w wypadku *Władzy i Godziny smutku*. Następnie wydawnictwo przygotowywało próbny wydruk zwany szczotką, a cenzura po jego przejrzeniu wydawała zgodę na druk. Tylko niewiele takich materiałów zachowało się w archiwaliach. Jeśli idzie o twórczość Konwickiego, to po obszernej kwerendzie archiwalnej odnalazłem jedynie szczotki z fragmentami *Sennika współczesnego* – partie tekstu, na które cenzorzy nanieśli adnotacje ołówkiem, niebieskim długopisem i czerwoną kredką. Po otrzymaniu od wydawnictwa gotowej publikacji uwzględniającej poprawki cenzury, wydawano zgodę na rozpowszechnianie. Gdy dochodziło do kolejnych wydań, do każdego z nich sporządzano oddzielną recenzję. Jednak, jak można zorientować się na podstawie ich zawartości, książka nie była ponownie czy-

*Materiały odnalazł, przygotował do druku (przy współpracy Przemysława Kanieckiego) i wstępem opatrzył Piotr Perkowski.

tana. Napisane przez cenzorów recenzje opiniowane był przez zwierzchnika, w interesującym nas wypadku książek – szefa jednostki GUKPPiW zajmującej się tzw. publikacjami nieperiodycznymi.

Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych recenzje informować miały przede wszystkim o przydatności ideologicznej danej pozycji. W dobie panowania doktryny realizmu socjalistycznego o ocenach, nie tylko tych ferowanych przez cenzorów, ale i przez ówczesną krytykę literacką, decydowały głównie sądy na temat politycznej wymowy twórczości, dopiero ewentualnie na drugim miejscu inne wartości artystyczne nadesłanego tekstu. Poziom wykształcenia cenzorów z lat pięćdziesiątych był niski, kłopoty kadrowe spore – i to odzwierciedlają przytoczone poniżej teksty, które przywodzą przeważnie na myśl wypracowania szkolne, pełne błędów i uproszczeń idących znacznie dalej niż te w recenzowanych powieściach tendencyjnych. O ile zatrudnienie człowieka z wykształceniem podstawowym w niektórych instytucjach cenzorskich, biorąc pod uwagę ówczesny poziom wykształcenia, a także powojenny deficyt inteligencji polskiej, nie budzi specjalnego zdumienia historyka, o tyle występowanie tego samego człowieka w roli recenzenta literatury, historiografii, poezji, krytyki literackiej świadczy o charakterze tej instytucji i jednoczesnej determinacji ludzi władzy w dążeniu do pozyskiwania drogą awansu posłusznych wykonawców swoich poleceń.

Jak już powiedziałem, recenzja cenzorska najczęściej wyglądała jak nieporadnie sporządzone wypracowanie szkolne. Autor dokonywał streszczenia, następnie przeprowadzał analizę słuszności ideologicznej książki i dodawał kilka uwag od siebie, o stylu, o akcji powieści; niekiedy informował, czy jego zdaniem książka jest ciekawa. Co bardziej rzetelny cenzor, szanujący zasady pisania wypracowań, kończył swoje wywo-

dy jakąś próbą podsumowania. Znamienne jest to, że z niektórych recenzji sporządzanych przez cenzorów przebijają aspiracje literackie, wykraczające poza ich podstawowe obowiązki. Wygląda na to, że niejeden z pracowników GUKPPiW, uwiedziony zakresem władzy, jaka mu przysługiwała, pragnął być krytykiem literackim i czujnym kontrolerem literatury równocześnie.

Poniżej prezentowane są recenzje wszystkich powieści Konwickiego publikowanych w latach pięćdziesiątych z wyjątkiem utworu *Z obłąkanego miasta*, które nie zostały odnalezione – brak ich w teczce sygn. 425, gdzie znajduje się tylko prośba o wydanie zezwolenia na druk z datą 7 sierpnia 1956 r. (k. 175; widniejące tu zgoda i podpis urzędnika noszą datę 10 sierpnia 1956). W materiałach zachowana jest oryginalna ortografia i interpunkcja, a także układ tekstu, podkreślenia i niektóre skreślenia; poprawiałem jedynie literówki. Ponieważ znaczna część recenzji pisana była ręcznie, ich odczytanie w kilku miejscach okazało się trudne lub niemożliwe (wszelkie uwagi, uzupełnienia lub – w wypadku wątpliwości – znaki zapytania umieszczone zostały w nawiasach kwadratowych).

1. „Przy budowie”, 1950.

Data przekazania pracy recenzentowi: 21.03.1950, data napisania recenzji: 27.03.1950.

AAN, GUKPPIW, sygn. 145 (31/25), k. 219 (rękopis).

Jest to opowiadanie napisane bardzo żywo, interesujące, które traktuje o budowie torów kolejowych dla przyszłych fabryk. Autor pokazuje życie i pracę przede wszystkim robotników, majstrów i inżynierów, których większość wskutek braku uświadamiającej pracy politycznej "odwala" pracę nie wykonując w ten sposób planu. Interwencja partii i zarządu budowy oraz przede wszystkim praca uświadamiająca prowadzona wśród robotników polepszenie warunków materialnych i wyższość [?] kulturalne doprowadzają do masowego współzawodnictwa i racjonalizatorstwa. Postawa robotników wykrywających złodziei mienia społecznego, czujność organizacji partyjnej umocniona wyborem nowych władz doprowadzają do usunięcia z Partii karierowicza i głębokiej samokrytyki naczelnego inżyniera, który oderwał się od mas. To stwarza nowy styl pracy i druga narada produkcyjna, przemówienie zwycięzcy we współzawodnictwie i masa projektów racjonalizatorskich jest przełomem i tu autor zakańczając każe wprost wierzyć że plan zostanie przed terminem wykonany. Wydaje mi się, że trochę błędnym jest ustawienie tej akcji na przełomie 1949-50 r., gdyż w tym czasie świadomość klasy robotniczej jest już dużo wyższa, pozatym ten przełom odbywa się zbyt szybko. Gdyby to rozpocząć w 1947-8 a skończyć w 1950 r., to przy - oczywiście powiększeniu i pogłębieniu problemów - byłaby to dobra powieść. Trochę może razić styl nie wyszlifowany i forma zbyt prosta, tym nie mniej lepsze to niż artystycznie piękne banialuki. Może by zdjąć "dowcip" ze str. 16?

Gdyby tę książkę dokładnie analizować to znalazłyby się i błędy merytoryczne, sytuacje może trochę naciągnięte, ale to nie może mieć miejsca wobec tak krótkiego opowiadania i w tak krótkiej recenzji.

2. „Przy budowie”, 1950.

Data przekazania pracy recenzentowi: 29.04.1950, data napisania recenzji: 5.05.1950.

AAN, GUKPPIW, sygn. 145 (31/25), k. 220 (rękopis).

Książka Konwickiego tematyką związana jest z planem sześcioletnim. Akcja toczy się przy budowie nowej trasy kolejowej zimą 1949/50 r. Oddział przedsiębiorstwa budowlanego wykonuje roboty przy budowie nowej bardzo ważnej linii kolejowej. Praca jednak nie przebiega tak jak należy. Plan robót nie jest wykonywany. Kierownik-inżynier członek partii pojmując swoje obowiązki jak typowy technik biurokrata. Organizacja partyjna nie działa, nie odbywają się nawet zebrania. Rada Zakładowa prawie nie istnieje. Robotnicy w większości element nieświadomy - chłopci bezrolni i małorolni którzy cierpiąc biedę na swoich małych kawałkach gruntu przyszli pracować na budowie - niezdiscyplinowani, nieufni nie rozumiejący znaczenia współzawodnictwa.

Na tym tle autor wprowadza bohatera członka partii delegowanego przez organizację partyjną centrali przedsiębiorstwa celem uzdrowienia stosunków panujących na budowie. Treścią książki jest jego walka o zmianę istniejącego planu. Autor nie rozwinął do końca aktualnego i niewątpliwie bardzo pozytywnego tematu. Powieść ujęta jest zbyt szkicowo. Środowisko i występujące postacie oddane są bardzo plastycznie. Nieco zbyt wysunięta jest rola głównego bohatera.

Jego działalność wysuwa się na czoło. Zastrzeżenia musi wzbudzić zestawienie postaci. Niewątpliwie pozytywnemu mimo tych czy innych wad bezpartyjnemu inżynierowi przeciwstawił Konwicki dwóch członków partii - inżyniera biurokrate oraz technika sabotażystę. Niezbyt budząco przedstawił autor sprawę czujności klasowej. Partia interweniuje dopiero po kilku sabotażach, które odkrywa bezpartyjny inżynier. Wygląda na to, że bezpartyjny pracownik jest bardziej czujny niż organizacja partyjna. Wątpliwości nasuwa także epilog przeniesienie kierownika robót w poczet kandydatów. Należało się raczej spodziewać usunięcia go poza nawias partii.

Pod względem literackim jest na dość dobrym poziomie.

Pozycja wydana w ramach cyklu "W kuźni planu sześcioletniego".

3. „Budujemy” (współautorzy zbioru: W. Woroszyński i W. Zalewski), 1951.

Data przekazania pracy recenzentowi: 12.12.1950, data napisania recenzji: 21.12.1950.

AAN, GUKPPIW, sygn. 145 (31/25), k. 221 (maszynopis).

Zbiorek prac Zalewskiego, Woroszyńskiego, Konwickiego to 3 pozycje:

1. Zalewskiego "W listopadzie miesiącu wiosennym" nowela o spółdzielni produkcyjnej w Dankowicach, fragmenty tej pracy były drukowane już w kilku czasopiśmie

2. Woroszyńskiego "Świt nad Nową Hutą" kilka poezji o Nowej Hucie poświęconych brygadam zetempowskim pracującym przy budowie

3. Konwickiego "Przy budowie" nowela o budowie linii kolejowej w Łuńcach

Zbiorek ten zasługuje na publikację ze względu na swą wartość polityczną i literacką. Autorzy w swych pracach realizują nowy kierunek literacki - mówić o socjalistycznym stosunku do pracy o jej wynikach i osiągnięciach o radosnym i twórczym trudzie pracy, której trudności pokonuje człowiek w kolektywie związany wspólną pracą, partią i ideą. Trzy niewielkie prace pokazują nowego człowieka, jego stosunek do pracy i rolę partii uświadamiającą każdemu, że w Polsce Ludowej realizując plan sześcioletni każdy pracujący buduje w kraju lepsze jutro.

Po dokonaniu skrupulatniejszej korekty prace można publikować.

4. „Budujemy”, 1951.

Data przekazania pracy recenzentowi: 5.03.1951, data napisania recenzji: 23.03.1951.

AAN, GUKPPIW, sygn. 375 (31/27), k. 267 (rękopis).

Pierwszy tom "Biblioteki Sztandaru Młodych" zawiera opowiadania: Konwickiego "Przy budowie" /nagrodzone Państwową Nagrodą Artystyczną/ i Zalewskiego "W listopadzie miesiącu wiosennym" /z tomu "Traktory zdobędą wiosnę", wyróżnionego Państwową Nagrodą Artystyczną/ oraz poemat Woroszyńskiego "Świt nad Nową Hutą". Dwa z tych utworów poświęcone są budowie Nowej Huty a jedno /opowiadanie Zalewskiego/ ukazuje drogę spółdzielcznienia wsi. Umiejętny dobór

tematyczny utworów obrazujących budowę podstaw socjalizmu w Polsce sprawia, że tom ten należy zaliczyć do pozycji bardzo pożytecznych. Wszystkie zamieszczone utwory ukazują co najważniejsze przeobrażanie się dawnego człowieka dźwigającego na sobie wiele nawyków burżuazyjnych z okresu kapitalizmu w nowego budowniczego Polski socjalistycznej. Pewnym niedociągnięciem tomu jest zbyt słabe pokazanie Z.M.P. i jego roli /jedynie poemat Woroszylińskiego ukazuje Z.M.P./.

Niewłaściwie na obecnym etapie jest ukazane zagadnienie inteligencji technicznej /"Przy budowie"/, która w rzeczywistości jest przedstawiana negatywnie.

Wskazane walory ideologiczne i komunikatywność utworów sprawiają, że należy tom ten zaliczyć do pozycji udanych.

5. „Przy budowie”, wznowienie, 1952.

Data przekazania pracy recenzentowi: 29.04.1952, data napisania recenzji: 2.05.1952.

AAN, GUKPPIW, sygn. 375 (31/29), k. 373 (rękopis).

Powieść, a właściwie dłuższe opowiadanie, obrazujące rośnięcie kolektywu robotniczego na budowie linii kolejowej. Akcja opowiadania rozgrywa się w środowisku o bardzo niskiej, albo żadnej świadomości /przeważnie chłopstwo z okolicznych wsi/, w samym kierownictwie budowy również znajduje się szereg osób raczej przeszkadzających budowie, bądź przez biurokracyzm, bądź przez świadome szkodnictwo. Na tym tle autor ukazuje pracę Partii, nad zorganizowaniem współzawodnictwa, nad wzmocnieniem kolektywu, uświadomieniem robotników - podniesieniem ich kwalifikacji zawodowych itp.

Opowiadanie napisane interesująco, pokazuje trudności na jakie napotykają w swej pracy ofiarni członkowie partii - i przełamywanie tych trudności. Tło środowiskowe narysowane bardzo dobrze. Niemniej autorowi nie udało się jeszcze w całości dobrze pokazać pracy organizacji partyjnej: po pierwsze dlatego, iż całą męczącą pracę partyjną rzucił na barki jednego człowieka /Pawła/ i po drugie dlatego, iż ostateczne wyniki pracy Partii pokazane są przy końcu opowiadania zbyt słabo, deklaratywnie - nie w konkretnej, codziennej pracy kolektywu robotniczego.

Mimo tych usterek opowiadanie należy do lepszych tego typu pozycji we współczesnej literaturze polskiej.

str. 47 - korekta

6. „Przy budowie”, wznowienie, 1953.

Data przekazania pracy recenzentowi: 30.12.1952 (dopisek recenzenta u góry recenzji: „b. pilne”).

AAN, GUKPPIW, sygn. 375 (31/29), k. 374 (rękopis).

Czwarte wydanie powieści omawiającej pracę robotników kolejowych, którzy jako niewykwalifikowani i nieuświadomieni politycznie opóźniali wykonanie pracy. Pod wpływem działalności partii i pracy uświadamiającej tworzy się zwarty i uświadomiony kolektyw. Praca napisana jest z dużym zacięciem dość ciekawie dla czytelnika. Postaci zbyt szablonowe, robią wrażenie nie ludzi żywych, lecz wymaginowane. Wyjątek stanowią "Dziadek" - Łaptać oraz Czajkowski i Leon których postacie są dobrze podbudowane psychologicznie i przemawiają do czytelnika.

7. „Władza”, 1954.

Data przekazania pracy recenzentowi: 1.02.1953.

AAN, GUKPPIW, sygn. 375 (31/31), k. 519–520 (maszynopis).

Powieść uderza śmiałością podjętego tematu jak też pionierstwem. Po raz pierwszy w naszej literaturze znalazły tu swe odbicie walka w łonie partii o likwidację odchylenia prawicowego, o leninowską linię partii oraz wypływający stąd problem walki o władzę.

Autor z dużym rozmachem i konsekw. demaskuje i wykazuje całe zaplecze wrogiego odchylenia.

Widzimy tu zarówno bandy grasujące w lasach wyekwipowane i karmione przez amerykańskich opiekunów, widzimy agentury wrogie działające w warunkach legalnych /PSL z prezesem Cieszkowskim na czele/ jak również pełnego perfidii i zaciętości przedstawiciela wrogiej części kleru, księdza. Powiązania tych wrogich ogniw, ich metody organizacyjne, ich akcje zmierzające do gnębienia, likwidacji uczciwych ludzi oddanych Polsce Ludowej, oraz działaczy partyjnych pokazane są w powieści z dużą siłą sugestywną. Lecz obok szumnych i zbrodniczych akcji wyziera z powieści od pierwszej już chwili słabość wroga, wskazuje na nią i mała liczebność band, i poziom moralny jej uczestników, którzy przeważnie rekrutują się spośród różnych wykołajeńców, i brak oparcia w narodzie. Banda długo musi kluczyć, zanim dotrze do "swojej" wsi lub "swoich" ludzi na wsi, którzy prawie z reguły są bogaczami. Trafnie pokazano w powieści jak stopniowo rozkład coraz bardziej opanowuje obóz wrogów, jak rozpada się banda wskutek coraz silniejszego tropienia jej przez władze bezpieczeństwa, jak w nowej sytuacji wróg przechodzi do nowych form walki, bardziej zamaskowanych.

Jak wygląda nasz obóz? Obracamy się ciągle w kręgu kilku pracowników aparatu partyjnego komitetu powiatowego lub przedstawicieli władz będących członkami egzekutywy KP.

Większość z nich to starzy komuniści, miejscowi działacze którzy za sprawę robotniczą walczyli jeszcze za sanacji.

I tu należy podkreślić, że autor z pietyzmem kreśli sylwetki tych postaci, szarych skromnych działaczy, powiatowego miasteczka i wsi, których wkład w dzieło wyzwolenia społecznego narodu jest tak wielki. Autor posługuje się przytem przydługimi dygresjami, sięgającymi w przeszłość, które w dużym stopniu odrywają uwagę czytelnika od akcji bieżącej. Ale dzięki nim mamy pełny obraz tych ludzi z przeszłości [urwane]

8. „Władza”, 1954.

Data przekazania pracy recenzentowi: 18.07.1953, data napisania recenzji: 1.08.1953.

AAN, GUKPPIW, sygn. 375 (31/32), k. 517–518 (rękopis).

Tadeusz Konwicki w obszernej powieści "Władza" daje po raz pierwszy w naszej literaturze obraz przełamywania w codziennym trudzie aktywu partyjnego prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia. Autor poprzez dzieje przede wszystkim dwu czołowych postaci i sekretarza KP Korejwy i II sekr. tow. Mikołaja Gałeckiego ukazał jak kierownictwo partyjne w oparciu o terenowy aktyw zdołało odsunąć od kierowania instancjami elementy oportunistyczne i kaptulanckie.

Młody robotnik Mikołaj, syn hutnika, po śmierci ojca komunisty, oddany do kułaka na parobka ucieka stamtąd do oddziału partyzanckiego. W warunkach powojennych zostaje II sekretarzem KP. Mikołaj jest zadziornym, bojowym członkiem partii, niezwykle ofiarnym w pracy. Mikołaja w środowisku domowym, w oddziale partyzanckim, bezpośredni kułacki wyzysk nauczyły głęboko nienawidzić wroga klasowego, bezkompromisowości i pryncypialności w walce. Autor nie poszedł jednak na łatwiznę w ukazywaniu głównego bochatera. Mikołaj ma wiele w sobie jeszcze młodej nieokiełznanej zadziorności. Przejawia się to np. w scenie, kiedy po napadzie bandy [na] Mikołaja i gminnego sekretarza którego banda zamordowała, Mikołaj wpada do domu powiatowego sekretarza PSL i mówi dokładnie co myśli o jego partii. Mikołaj całym swym wyczulonym instynktem klasowym rozumie iż Korejwa robi coś złe, że coś z tą polską drogą do socjalizmu, bez walki z wrogiem klasowym bez spółdzielczości produkcyjnej to nie tak... ale brak wiedzy politycznej Mikołaja nie daje mu możliwości zrozumieć problemu, więc powoduje że [słowo nieczytelne] Mikołaj dochodzi nawet do zwątpienia w partię. Mikołaja charakteryzuje pozatem oschłość w sporach osobistych dochodząca nawet do łamania własnych uczuć autor w ukazywaniu Mikołaja nie bał się ostrych barw, nie bał się prawdy życia i to jest niezwykle cenną zaletą powieści.

Przeciwieństwem Mikołaja jest I sekretarz KP Korejwa, który do partii i na stanowisko wypłynął w burzliwych latach okupacji. Korejwa ma dziwny [tu słowo nieczytelne] dar łagodzenia konfliktów co w niektórych wypadkach nawet się udaje. Mikołaja, jego postawę traktuje przynajmniej w początkowej części z pobłażliwością. Znamiennym jest to że [w] głębi duszy zachował on całe uznanie dla burżuazyjnego świata jakie wyniósł z dzieciństwa - z okresu gdy jako robotnicze dziecko bawi się zabawkami z synem inżyniera. Całą jego postawę partyjną cechuje oportunizm ciągnie do partii na siłę młodego Cieszkowskiego, choć posiada on jeszcze tysiące nieprzeciętych nici z własnym ojcem Prezesem powiatowego PSL. Sprawa ZSRR jest przez niego traktowana z jezuicką wykrętnością [?]. A całe swoje postępowanie zasłania dymną świecą polskiej drogi do socjalizmu, krytykujących go b. KPP [?] z także pogardliwą wyższością, jak najbardziej negatywnie wypowiadając się o KPP.

Z niezrównanym mistrzostwem, dalekim od uproszczeń kreśli autor sylwetki postaci negatywnych jawnych i ukrytych wrogów. Derkacz były sanacyjny oficer i dziedzic, szef bandy który w swej zwierzęcej nienawiści do wszystkiego co postępowe nie cofa się przed żadnym okrucieństwem to jednocześnie człowiek który boi się, którego paniczny strach pcha do wódki. Czuje coraz bardziej spętane ręce, coraz większą izolację, coraz bardziej staje się zdziczały i okrutny. Cieszkowski pan prezes PSL to postać nakreślona bardzo wnikliwie. Konwicki ukazuje przed nami typowego burżuazyjnego inteligenta [?] karierowicza, którego prosta droga prowadzi od chadeckiej partii PSL a stamtąd do podziemia. Obok tego dobrze są nakreślone postacie Andrzeja i Wiktora - synów Cieszkowskiego.

Jakie są główne błędy? Autor ukazał nam przełamanie prawicowego i nacjonalistycznego odchylenia to jest główna tematyka powieści. Uważam jednak, że mimo że autor ukazał narastanie stosunków tego przełamania to zagadnienie to ukazał niedostatecznie. Niedługo przed plenum poświęconemu odchyleniu odbyła się egzekutywa która usuwała Mikołaja a protest uczciwych członków partii był niedostateczny. Dalej autor przez wprowadzenie fragmentu z [tu słowo nieczytelne] tego zagadnienia nie rozwiązał. Dalej autor ukazując całą sprawę stosunków na hucie Wiktoria [?] jedyną reprezentację klasy robotniczej - nie dostatecznie ukazał iż walka robotników była wymierzona przeciw oprawcom a nie przeciw partii. Wreszcie nie jest pokazany dostatecznie opór mas szczególnie chłopskich przeciw Derkaczowi.

9. „Władza”, 1954.

Data przekazania pracy recenzentowi: 15.12.1953, data napisania recenzji: 24.12.1953.
AAN, GUKPPIW, sygn. 375 (31/32), k. 521–522 (rękopis).

Powieść Konwickiego jest śmiałą próbą scharakteryzowania przejawów polityki gomółkowszczyzny w terenie.

Akcję autor umieścił w powiecie janowskim wj. Łódź.

Zasadniczym tematem jest tocząca się walka o władzę. Jest to okres ucieczki Mikołajczyka i uchwały Biura Politycznego w sprawie Tito, w Polsce sprawa Gomółki.

Na przestrzeni tych wydarzeń Konwicki ogólnokrajowych, Konwicki pokazuje w jaki sposób, konkretnie w jednym z powiatów, znajdują odbicie te wydarzenia, jakie rozmiary przybiera walka o władzę, w jaki sposób realizowana jest polityka partii. W powiecie Janowskim walka toczy się nie tylko o ugruntowanie władzy ludowej, o zlikwidowanie band, mających popleczników w PSL i obcych wywiadów - toczy się ona również w łonie partii. Sekretarz powiatowego Komitetu PPR Korejwa, przedwojenny działacz, prowadzi kacykowską politykę poklepywania po plecach. Jest wyrazicielem błędów gomółkowszczyzny. Wyraża się to w stosunku do kułactwa, do band, PSL, w stos. do Zw. Radzieckiego. Z pola widzenia umyka mu walka klasowa. Prowadzi politykę łagodzenia konfliktów, godzenia polityki Mikołajczyka z władzą ludową. Usuwa nie wygodnych działaczy partyjnych. Ukrywa występki oddanych sobie ludzi.

Mikołaj Gałęcki, którego zdrowy instynkt klasowy, przedwojennego robotnicza, syna KPP-owca usunięty z egzekutywy - zamyka się w sobie choć widzi błędy Korejwy ale nie umie z nimi walczyć. Podobnie jest z Kociołkiem szefem UB. A tymczasem bandy podnoszą głowę, dokonują morderstw, rozbijane przez KBW [nieczytelne] nawiązują kontakty znajdując oparcie w PSL i w kułactwie [dopisek u góry: „i w klerze”]. Rwą się do bezkompromisowej walki Mikołaj, hamowanym jest przez Korejwę i jego zwolenników. Działalności Korejwy kładzie kres rozszerzona egzekutywa z przedstawicielem KC. Czytelnik dopowie sobie jak potoczyły się dalej sprawy w powiecie janowskim. Konwicki nie tylko to pokazał w powieści. Występuje tu szereg postaci w których przeżyciach i przemianach zachodzących widzimy odzwierciedlenie przemian jakie wniosła Polska Ludowa i w nich samych ugruntowywał się stosunek do władzy ludowej. Konwicki każe śledzić czytelnikowi tych ludzi w obecnej sytuacji, nawiązując często do ich przeszłości. W ten sposób widzimy tworzą partii w powiecie janowskim jeszcze w okresie przedwojennym w walce o swe prawa w hucie "Wiktoria" w Janowie partyzantów AL. Widzimy młode kadry - bezwzględnie oddane partii. Ludzie ci wszyscy rosną wraz z partią, nabierają doświadczenia, rwą się [do] walki o władzę ludową.

Widzimy rozkład rodziny adwokata, prezesa PSL. Syn jego Wiktor odchodzi od bandy, pragnie uczciwego życia - zostaje zamordowany /podobieństwo z "Popiołem i diamentem"/.

Nie będę charakteryzować wszystkich postaci i wątki występujące w powieści wystarczy powiedzieć iż Konwicki bardzo przekonująco i z dużą wnikliwością pokazuje ludzi i zdarzenia. Ludzi z ich błędami, wahaniami i słabościami.

Najsłabiej autorowi wypadło zakończenie - gdy przyjeżdża przedstawiciel KC, gdy trzeba było rozbić gomółkowszczyznę i ustawić działalność partii. W stosunku do całości - zakończenie jest trochę niewspółmierne. Nie sądzę również by najlepszym rozwiązaniem było stoczenie się Korejwy na pozycje wrogie - co nie jest wyraźnie postawione, ale tak sobie to można wytłumaczyć.

Reasumując pozycja wartościowa, nowatorska - napisana niezwykle jędrnie, prawdziwie i interesująco.

10. „Godzina smutku”, 1954.

Data przekazania pracy recenzentowi: 23.04.1954, data napisania recenzji: 28.04.1954.

AAN, GUKPPIW, sygn. 375 (31/34), k. 115–116 (rękopis).

Jest to powieść o tematyce współczesnej. Akcja toczy się na peryferiach małego miasteczka, przy budowie oranżerii, która jest częścią wielkiego chemicznego kombinatu. Sprawy budowy, sprawy naszej rzeczywistości są jedynie tłem, na którym rozgrywa się dramat bohaterów. Główny bohater, Michał /członek Partii, bojownik AL itd./ kocha czystą i głęboką miłością żonę swego przyjaciela. Sam też jest żonaty, ma dwoje dzieci.

Narastanie miłości Michała i Jadzi, ich walka, szamotanina się ze sobą oddane są z olbrzymią prawdą życiową, z wielką subtelnością. Konwicki uładował sobie trochę zadanie, głębokiej, silnej miłości do Jadzi przeciwstawiając z drugiej strony jedynie suche poczucie obowiązku w stosunku do dzieci. Olbrzymi sprzeciw czytelnika budzi zakończenie powieści, spłycone, sprowadzone do poziomu naszych najsłabszych powieści "schematycznych". Kończy się ona zebraniem egzekutywy organizacji partyjnej, na której omawia się sprawę Michała zastanawiając się nad jego pozostawieniem w Partii. Zakończenie wydaje się narzucone autorowi - tak dalece odbiega od atmosfery powieści i jest, moim zdaniem, szkodliwe. Wprawdzie wyciągnął tę sprawę człowiek w Partii raczej przypadkowy, intrygant, wstrętny typ - zebranie zwulgaryzowało jednak uczucie, usprawiedliwiając Michała stanęło na froncie mieszczańskiego, niezniszczalnego małżeństwa, w którym zagadnienia miłości nie bierze się pod uwagę. Czytelnik zaś zrozumie, że takie jest stanowisko etyki partyjnej.

Mam wrażenie, że nie jest to rozwiązanie Konwickiego.

Z punktu widzenia politycznego budzą zastrzeżenia utarczki na budowie z wozakami (którzy są kułakami na 4-ch, 5-u h ziemi ogrodowej) przybierające zbyt drażliwe formy /str. 72, 85, 102/.

[poniżej uwaga czerwoną kredką, z datą 31 maja: „Czytała tow. Landsberg. Zezw. na skład”]

11. „Godzina smutku”, 1954.

Data napisania recenzji: 30.07.1954 (u góry arkusza recenzenckiego informacja recenzentki z datą 19.10.1954: „czytałam jeszcze przed rozpowszechnieniem. Bez zastrzeżeń”).

AAN, GUKPPIW, sygn. 375 (31/34), k. 117–118 (rękopis).

Dzieje trójkąta - albo właściwie kwadratu małżeńskiego z którym tu mamy do czynienia zamierzał prawdopodobnie Konwicki postawić na nieco szerszej płaszczyźnie: na płaszczyźnie moralności socjalistycznej.

Czy mu się to udało - a jeżeli tak, to o ile?

Skuszenie się stało, że Konwicki nie wyizolował swych bohaterów ze społeczeństwa, ale dość mocno ich w nim osadził. Tak główny bohater, Michał, jak jego żona, Zosia, a także małżeństwo Lisowskich są ludźmi, których charaktery, praca i poglądy są czytelnikowi dobrze znane. Najlepiej, najbardziej głęboko narysowana jest sylwetka głównego bohatera - Michała Śnitko. Dzieje nieszczęśliwej miłości Michała i Jadzi Lisowskiej wstrząsają czytelnikiem. Jest to uczucie piękne, czyste, przed którym oboje się bronią i które jednak jest od nich silniejsze. Opis jego zawarł autor w pięknej formie artystycznej. A stanowisko autora co do tego uczucia?

Nie mogę powiedzieć, że autor nie zajmuje żadnego stanowiska. Już przez to samo, że czytelnik rozumie wewnętrzną szarpaninę Michała, solidaryzuje się z tym uczuciem wskazuje na to, że przez pewien czas solidaryzuje się z nim także autor, toteż samo zakończenie jest czymś sztucznym, jakimś przykrym zgrzytem. Sam fakt, że sprawę Michała postawił przed organizacją partyjną - chociażby, jak ten partyjniak z nieprawdziwego zdarzenia - nie wydaje mi się specjalnie istotne - w każdym razie ideologicznym błędem nie jest. Złe się jednak stało, że krańcowo różny poziom literacki całej powieści od zakończenia - na niekorzyść ostatniego, sloganowość i ubożyzna wypowiedzi poszczególnych towarzyszy sprawia, iż nawet uświadomiony czytelnik odczuwa wewnętrzny protest przeciwko tego rodzaju rozwiązaniu, czuje to, co i Michał: że piękne uczucie jego i Jadzi zostało w jakiś sposób zwulgaryzowane, a nawet sprofanowane - a w dalszej konsekwencji - że to są zbyt delikatne sprawy, aby je wywlekać na forum publiczne - tem bardziej, że jakkolwiek poszczególni towarzysze zrozumieli Michała, to zebranie partyjne nie rozwiązało jego sprawy, jedynie ją rozjątrzyło. Czytelnik nie wierzy w ostatnie słowo autora - że zebranie Michałowi pomogło. I to właśnie uważam za najpoważniejszą wadę książki.

Pisarz postawił ważny problem, niestety jednak nie potrafił szczerze i do końca ustosunkować się do niego i pokazać, że życie osobiste ludzi nie jest tylko ich prywatną sprawą, a jest sprawą całego społeczeństwa.

Mimo to książka nadaje się do wydania.

12. „Godzina smutku”, 1954.

Data napisania recenzji: 1.08.1954.

AAN, GUKPPIW, sygn. 375 (31/34), k. 119–120 (rękopis).

Fabula książki jest nieskomplikowana: bohater - przodownik pracy i aktywista partyjny, żonaty i ojciec dwojga dzieci - uwodzi żonę swojego najlepszego przyjaciela. Sprawa staje na egzekutywie organizacji partyjnej.

W ramy prostej opowieści autor wtłoczył ludzkie, ale bynajmniej nie proste zagadnienie. Michał jest człowiekiem pozytywnym, ale postępuje niewłaściwie. Postępowanie jego także jednak nie jest bezwzględnie do potępienia - Michał nie jest zdemoralizowany, nie chodzi mu o łatwą miłość, przy czym zdaje sobie sprawę z niewłaściwości takiego uczucia i broni się przed nim. Ostatecznie jednak ulega uczuciu, obiektywnie wyrządzając krzywdę zarówno przyjacielowi, jak i żonie.

Stany duchowe Michała autor przedstawił plastycznie, wiernie i zgodnie z prawdą życiową, jednocześnie unikając wulgaryzacji obrazów. Michał jest jednak jedyną postacią pierwszoplanową; zarówno Jadzia, jak i jej mąż Jerzy, tak samo, jak i żona Michała Zosia są jedynie mniej lub więcej wyraźnym tłem stanów uczuciowych Michała.

Może dlatego powieść swoją pozostawia autor niezakończoną, nie wnikając w to, jak sprawa wyglądała w oczach innych bezpośrednio zainteresowanych, nie jest w stanie osądzić ostatecznie Michała i wskazać na najsłuszniejsze rozwiązanie wężła, któreby w sposób możliwie sprawiedliwy pokierowało dalszymi losami czworga ludzi. Z tego względu książka pozostaje opowieścią - opowieścią o dużym znaczeniu, ze względu na postawione przez autora przed czytelnikiem zagadnienie moralności socjalistycznej.

13. „Władza”, wznowienie, 1955.

Data napisania recenzji: 18[?].04.1954.

AAN, GUKPPIW, sygn. 375 (31/33), k. 432–433 (rękopis).

"Władza" Tadeusza Konwickiego, jest bezsprzecznie jedną z ciekawszych powieści okresu powojennego. Akcja powieści toczy się mniej więcej w latach 1946–48 w małym miasteczku i dotyczy zmian i tarć zachodzących w różnych środowiskach, szczególnie wśród miejscowej inteligencji. Autor pokazuje jak dalece stosunki w miasteczku i okolicy stają się odbiciem sytuacji w kraju, jakie refleksy wywołują tam w codziennym życiu ludzi wydarzenia ogólnopństwowe a nawet międzynarodowe. Trzeba stwierdzić że pewne momenty charakterystyczne dla tego okresu autor uchwycił bardzo zręcznie i prawdziwie. Przy tym mimo aktualnej tematyki i dużej ilości poruszanych zagadnień, nie ma w książce sztucznego nagromadzenia problemów, nie ma "wszystkoizmu" i pewnej, nazwijmy to poprawności. Autor problemy stawia dość ostro i odważnie, jakkolwiek czasami odnosi się wrażenie, że są one przez niego raczej odczute niż przemyślane. Powieść moim zdaniem spełnia szereg postulatów realizmu socjalistycznego - pokazuje typowych ludzi w typowych okolicznościach nie będąc równocześnie fotografią rzeczywistości, demaskuje wroga i pokazuje nam jasno drogę ku socjalistycznej, lepszej przyszłości. Ogólnie, uważam, że powieść ma dużą wartość artystyczną i polityczną i należy ją udostępnić możliwie największej ilości czytelników.

Przeoczenia cenzury przewencyjnej:

str. 203 - fragment sugerujący że każdy Żyd wstydzi się swego pochodzenia.

14. „Władza”, wznowienie, 1955.

Data przekazania pracy recenzentowi: 8.12.1954, data napisania recenzji: 13.12.1954.

AAN, GUKPPIW, sygn. 375 (31/33), k. 434–435 (rękopis).

Część pierwsza znanej powieści Konwickiego pokazująca czytelnikowi walkę kl. rob. o władzę w pierwszych latach powojennych z różnego rodzaju draństwem rodzimym i naskanym przez kapitał m-ndowy. Praca napisana żywo posiada silne momenty demaskatorskie przemawiające do czytelnika. Postacie dobrze podbudowane psychologicznie dopełniają całości. Język żywy bezpośredni.

Bez zastrzeżeń.

15. „Rojsty”, 1956.

Data przekazania pracy recenzentowi: 14.02.1956, data napisania recenzji: 17.02.1955.

AAN, GUKPPIW, sygn. 424 (31/36), k. 80–81 (rękopis).

Nowa powieść T. Konwickiego "Rojsty" jest /jak pisze on sam w słowie wstępnym/ utworem napisanym osiem lat temu. Konwicki mówi również o niedostatkach

swojej powieści, składając je na karb zbyt szybkiego porwania się na powieść - tuż po napisaniu kilku pierwszych opowiadań.

Akcję powieści umiejscowił autor w Wilnie pod koniec 1944 roku. Bohater powieści Tadeusz ~~w pierwszej części~~ zgodnie z tradycją swego środowiska walczy o Polskę od morza do morza. Kiedy idzie do podwileńskich lasów, aby walczyć z bolszewikami dostaje błogosławieństwo matki i szkaplerz z ostrobramską. Jego kolega otrzymuje nawet ryngraf. Losy Tadeusza są losami ~~całej~~ [poprawione na: „tej części”] młodzieży A.K., która karmiona bzdurą "o mocarstwowości i przedmurzu chrześcijaństwa" nie widziała innej drogi jak drogę walki zbrojnej. Tą prawdę opowiada nam Konwicki w nienajlepszej formie artystycznej. Nie jest to pamiętnik mimo, że Tadeusz mówi w pierwszej osobie. Nie jest to powieść, gdyż wątki są zbyt ubogie, a tragedia bohatera opowiedziana jest zbyt wąsko. Książka Konwickiego ma mówić za siebie, ma demaskować kłamstwa Aka [?], samymi tragicznymi losami bohaterów, którzy zabijając białoruskich chłopów i żołnierzy radzieckich wierzą, że spełniają patriotyczny czyn, że przybliżają baśń o Polsce od morza do morza. Taka ma być wymowa książki. A jak jest naprawdę? Książka rzeczywiście chwilami wzrusza, oburza i udowadnia, ale tylko chwilami, bo właściwie już gdzieś po przeczytaniu pierwszych dwóch rozdziałów wiemy co będzie dalej: kompromitacja ideologii w którą wierzyli młodzi ludzie.

Mimo swoich niewątpliwych wad kompozycyjnych, ubóstwa treści intelektualnych, powieść T. Konwickiego - warto przeczytać.

16. „Rojsty”, wznowienie, 1959.

Brak daty napisania recenzji (data zezwolenia na druk: 7.02.1959).

AAN, GUKPPIW, sygn. 623 (68/33), k. 138–141 (rękopis).

1) Zasadniczym tematem powieści jest działalność AK-owskiej, antyradzieckiej bandy na Wileńszczyźnie w latach 44, 45. Autor nie usiłuje nawet szerzej odmalować ówczesnej sytuacji na Wileńszczyźnie, interesują go głównie środowiska związane z bandą, stanowiące jej ideowe i materialne zaplecze. O innych sprawach czytelnik dowiaduje się jakby mimochodem, na marginesie.

Zdarzenia ówczesne oglądamy oczyma jednego z "partyzantów". Konwicki w zasadzie stara się w relacji zachować ówczesny punkt widzenia tej postaci, trzeba jednak stwierdzić, że opowieść tę cechuje duża domieszka ironicznego dystansu w opisie. Chodzi poprostu o to, iż sposób opisu jest złożony, trudny do określenia. Charakteryzuje się on z jednej strony jakąś naiwnością obserwacji, pisanym jakby z dnia na dzień, na gorąco, z drugiej strony ironiczną perspektywą.

2) Powieść jest zdecydowanie opisowa, całkowicie pozbawiona autorskiego komentarza. Bardzo niska jest również warstwa intelektualna "Rojstów". W książce tej prawie nie ma dyskusji, przemyśleń, wszystko ma "zakatwić" poprostu opis. Wybór takiej techniki pisarskiej można różnie tłumaczyć. Może być on powodowany pewną bezradnością autora wobec tematu a raczej wobec głębszej istoty tematu ewentualnie obawą Konwickiego przed schematyzmem i łopatoologią polityczną.

Konwicki zrezygnował z dramatycznych i całkiem jednoznacznych środków kompromitacji tego ziemiańsko-inteligenckiego kresowego środowiska. On je poprostu ośmiesza. Ośmiesza, ukazując zatechłą atmosferę wileńskich mieszkań z pluszowymi kanapami, popiersiami Piłsudskiego i tomami Dmowskiego na półkach, czy podobnych w swym klimacie małych szlacheckich dworów. W gruncie

rzeczy przede wszystkim śmieszne są rozmowy tych ludzi o konieczności "prze-trwania", oporu, pełne mglistych, ogólnikowych, frazesów, rozmowy w których zwy- kły rozsądek nie bierze właściwie udziału. W relacji Konwickiego to poprostu zbiorowisko sklerotycznych ramoli, duszących się we własnym sosie, jakie wąski, b. izolowany od życia świat, śmieszny w swoim mitomańskim uporze. Są naprawdę rzadkie momenty, zmuszające czytelnika do przestawienia się na b. poważną nutę. Mam na myśli np. rozmowę podczas [tu nieczytelny dopisek nad wersem] się zamordowa- nie [?] ~~komunisty, działacza ZPP tylko za to człowieka tylko ze względu na jego~~ komunistyczne przekonania. ~~Wtedy czytelnik zdaje sobie sprawę z~~ Poza tym samo zestawienie obrazu tego środowiska z działalnością jego wychowanków, z działal- nością bandy, nadaje tej grotesce cechy bardziej makabryczne i poważne.

3) Jak wygląda w powieści ta karykaturalna partyzantka? Przede wszyst- kim pozbawiona jest prawie zupełnie blasku. Nawet występujące w niej na po- czątku powieści elementy partyzanckiego fasonu i fanfaronady są nikłe, żało- sne i szybko giną. Banda w niezwykle szybkim tempie traci grunt pod nogami, częściowo zostaje rozbita, częściowo wykrusza się w końcu. Na placu "boju" zo- staje garstka 7 ludzi, do których nie chce się przyznać nawet dowództwo. Kon- wicki i tu również unika dramatycznych obrazów, chociaż nie można postawić mu zarzutu oszczędzania morale tych ludzi. Znajdujemy w powieści nieliczne sceny mordowania niewinnych ludzi, krzywdzenia chłopów i.t.p. Główny nacisk kładzie jednak autor na ukazanie bezsensu działalności tych ludzi.

Zamierzenie autora "Rojstów" polegało właściwie na ukazaniu mitomańskiej mentalności wąskiej zbiorowości i ich obiektywnie szkodliwej, zbrodniczej dzia- łalności. A więc zbiorowość nie jednostki, poszczególne postacie powieści to wła- ściwie zacierające się w pamięci czytelnika szkice postaci.

4) Dwoma postaciami, które jakoś pozostają w pamięci czytelnika to narra- tor powieści i partyzant Kwiatek. Jest rzeczą nieprzypadkową, że są to postacie subiektywnie najuczciwsze i że właśnie oni pozostają w bandzie do końca. Wyda- je się, że to jest jakaś niekonsekwencja autora, iż chłopak, którego spojrzenie na tamte sprawy jest w dużej mierze ironicznym spojrzeniem samego Konwickie- go, a więc chłopak, który widzi ostro i krytycznie nie umie wyciągnąć wnio- sków z tego co widzi i do końca trwa nie tylko w bandzie, ale nawet kultywuje swoje złudzenia co do sensu jej działalności. Konwicki który, jak już poprzed- nio stwierdziłam, ogólnie ubogo przedstawia wewnętrzne życie swych bohaterów, nawet w tych wąskich ramach nie chce pokazać ich rozwoju, zmiany ich postawy. W efekcie autor wykazuje zbyt wiele zrozumienia dla postawy uporczywej wal- ki do końca. Wydaje mi się że w tym wypadku polityczny obiektywizm Konwickie- go poszedł zbyt daleko.

~~Reasumując generalnie rzecz biorąc, wymowa powieści jest dobra Reasumując:~~ powieść, a szczególnie rozwiązanie powieści odznacza się powiedziałabym poli- tycznym unikiem, zbyt dużym obiektywizmem, wydaje się jednak, że nie dyskwalifi- kuje to dobrej wymowy politycznej "Rojstów" w całości. Nie uważam tego za kwe- stię cenzorską.

Cenz. zast. str. 46

17. „Dziura w niebie”, 1959.

Data przekazania pracy recenzentowi: 16.03.1959, data napisania recenzji: 25.03.1959.

AAN, GUKPPIW, sygn. I/625, brak paginacji (rękopis).

Książka Konwickiego "Dziura w niebie" przedstawia nam środowisko podrost- ków z ostatniej klasy szkoły podstawowej pewnej osady miejskiej na Wileńszczy-

znie w okresie przedwojennym.

Akcja tej książki żywo przypomina "Chłopców z placu broni" Molnara, gdyż perypetie jednych i drugich są podobne.

Dwie przeciwstawne "armie" chłopców walczą o zdobycie Puzkarni - opuszczonego budynku papierni, nęcącej ich swą tajemniczością. Przy okazji w walce tej rozstrzygają się inne konflikty, narosłe w środowisku tej młodzieży.

Imponującą postacią jest główny bohater tej książki - pastuszek - Polek Krywko. Jego rogata dusza doprowadza go do nieustannych konfliktów ze swym otoczeniem. Polek nie daje się nigdy. Jest niezwykle wytrwały, stanowczy, szalenie odważny. Nie waha się w pojedynkę podjąć walki z całą gromadą chłopców z "wrogiego obozu", nie mając złudzeń co do jej rezultatów. Dla wydarcia tajemnic Puzkarni sam jeden tuż przed wieczorem zapuszcza się w jej podziemia, przezwyciężając strach i wszelkie przeszkody. Z opresji tych tylko cudem wychodzi żywy. Postać ta niewątpliwie wzbudzi sympatię u czytelników.

Autor nie bacząc na wiek swych odbiorców stara się prawdziwie oddać zdarzenia i ludzi tu występujących, niczego nie upiększa, nie tai - przedstawia wszystko tak, jak bywa w rzeczywistości.

Bardzo plastycznie pokazał okrucieństwo chłopców z drugiego "obozu", paściących się nad nawpół już żywym Polkiem [tu wskazanie stron].

Pokazał niefortunnego pedagoga, p. Rymuszę, używającego bardzo niewybrednego języka, gdy go wychowankowie wyprowadzają z równowagi tu wskazanie stron. Tu na kresach to ujdzie, bo gdzie jeszcze go mogą zesłać?

Autor wprowadził też tutaj szereg słów niecenzuralnych [tu wskazanie stron]. Lecz słowa te nie zaszokują czytelników, często są używane w środowisku młodzieży, to też wydaje mi się, że ingerencja jest zbędna.

Słabo narysowane są także w książce niektóre problemy społeczne ówczesnych "kresów", ale ujęte są raczej marginesowo. To też nie dają pełnego obrazu.

Książka będzie ciekawą pozycją dla młodocianego czytelnika, a bohater jej postacią godną naśladowania.

„SZCZOTKI” CENZORSKIE Sennika współczesnego

„Sprawozdanie z kontroli prewencyjnej nr 20” w teczce „Ingerencje pozycji książkowych. Iskry 1963”
AAN, GUKPPIW, sygn. 797, k. 116–124.

*Sinię monię, krasnyj parachod
Siadu, pajedli na Dalnyj Wostok
Na Dalniem Wostokie puszki gromat
Bityte aficany miorotyse keriat.*

1069 Sennik współczesny 11.5.63. pk
szpalta 5

— No, pani Korsak, nie nam taką ciemnotę wstawiać —
obruszył się sierżant Główko.
— Matka Przenajświętsza świadkiem, że tak było.
A pan Jasiu Krupa też ręki nie ma i żyje.
— Ale pani przyrównała. Gdzie ręka, a gdzie brzuch.
— Odczepcie się od mojej ręki — warknął partyzant.
— Nikt nie chce pana krzywdy — rzekł z godnością
Główko. — Rozmawiamy o naukowych sprawach, z prze-
proszaniem. No niech pan powie, panie hrabio, czy to do
czegoś podobne?
— Nienie wiem, nienie wiem, baronie — odparł hra-
bia i szczerwieniał.
— Ja panu nie ubliżam — podniósł głos sierżant
Główko.
— Ja także.
— Użyłeś pan słowa.
— Uciszcie się, arystokracjo powiatowa — wtrącił się
partyzant. — Wódka już ciepła, a oni naukowych obser-
wacji dokonują.
— Tylko broń Boże Ildeczkowi nie dawajcie. Normalne-
mu mężczyźnie zanim wódka do nóg dojdzie to i parę god-
zin minie. A on, kurczaczek, ledwo kieliszeczek przeł-
knie, już słabiuteńki i niezdrowsi.

*U kałchoz dorożka prosta,
A z kałchozu kasiakom.
U kałchoz idziosz abutyj,
A z kałchozu basiakom... —*

zaśpiewał Ildefons Korsak i drgnął w kolanach, lecz silne
ręce siostry powstrzymały go przed upadkiem.
— Pani go posadzi na łóżku koło chorego i będzie spo-
kój — doradził sierżant Główko.

— Przecież byłem żołnierzem — mówię i czuję jakąś niestosowność tego określenia, jakieś potępienie rodzące się raptownie na sali. — Byłem żołnierzem — powtarzam bezradnie — więc strzelałem.

— Ćiu zabiliście naszych ludzi?

Sięgam po pustą szklankę i odstawiam ją w to samo miejsce.

— Potyczki zdarzały się zwykle nocą. Strzelałem do tych, co byli przede mną, ale nie wiedziałem, czy ich trafiłem, czy raniłem, czy zabiłem.

— Konkretnego wypadku zabójstwa nie pamiętacie?

Jego biała twarz tkwi natarczywie pośrodku ciemnej ściany. Wiem, że patrzy mi w oczy i wiem, że nie do-wierza.

— Tak, zdarzył się taki wypadek. Otrzymałem rozkaz wykonania wyroku.

— To znaczy zastrzelenia człowieka?

Przestępuję z nogi na nogę i opieram się z całych sił o mównicę.

— Tak — mówię. — Tak.

— Kto to był?

— Nie wiem. Otrzymałem tylko adres i opis tego czło-wieka.

— Jak on wyglądał?

Wstaje sekretarz.

— Czy to konieczne?

Tamten pośpiesznie błyska zębem.

— Dla mnie tak. To są poważne sprawy. Mam chyba prawo wszystko wiedzieć do końca?

Sekretarz siada i patrzy na mnie.

— Mieszkał w odosobnionym domu koło kolei. Trudno mi coś powiedzieć, bo to była noc. Zapamiętałem tylko, że wysoki o ciemnych włosach, miał oliwkową cerę i wy-datne usta...

Słyszę raptowny rumor odsuwanego krzesła. Dopiero teraz spostrzegam, że za mną jest stolik protokolanta usła-ny kartkami pośpiesznie zapisywanego papieru. Obok nie-go chwije się kobieta o białych włosach i rozszerzonych histerycznie oczach. W jej rękę drży ołówek kopiowy.

— To mój mąż... Tak zginął mój mąż — szepcze.

Odwracam się do niej, stoję teraz tyłem do sali.

— Ja go nie zabiłem — mówię.

— Wyjaśnijcie bliżej — odzywa się sekretarz i wstaje.

jakby chciał mi pomóc. — To bardzo ważne.

Przelykam gęstą ślinę, która nie daje się przełknąć.

— Miałem rozkaz zabić, ale go nie zabiłem.

— Czyli nie wykonaliście tego rozkazu? — podpowia-da sekretarz.

— Wykonałem. Musiałem wykonać.

— No to jak? — denerwuje się sekretarz. — Zabiliście, czy nie zabiliście?

Szukam odpowiednich słów patrząc na nogi kobiety obute w ciężkie butyory lśniące wilgocią.

— Strzeliłem. Strzeliłem tak, żeby nie zabić.

Kobieta wybucha płaczem. Odwraca się tyłem do nas wszystkich i płacze w rękaw. Lewą ręką szuka na osłep torebki, której nie ma na stole.

— Co to znaczy, że strzeliliście nie zabijając? Skąd wiecie o skutkach tego strzału? — pyta z sali ten sam głos.

Słyszę raptowny rumor odsuwanego krzesła. Dopiero teraz spostrzegam, że za mną jest stolik protokolanta usiany kartkami pośpiesznie zapisywanego papieru. Obok niego chwije się kobieta o białych włosach i rozszerzonych histerycznie oczach. W jej ręku drży ołówek kopiowy.

— To mój mąż... Tak zginął mój mąż — szepcze.

Odwracam się do niej, stoję teraz tyłem do sali.

— Ja go nie zabiłem — mówię.

— Wyjaśnijcie bliżej — odzywa się sekretarz i wstaje, jakby chciał mi pomóc. — To bardzo ważne.

Przełykam gęstą ślinę, która nie daje się przełknąć.

— Miałem rozkaz zabić, ale go nie zabiłem.

— Czyli nie wykonaliście tego rozkazu? — podpowiada sekretarz.

— Wykonałem. Musiałem wykonać.

— No to jak? — denerwuje się sekretarz. — Zabiliście, czy nie zabiliście?

Szukam odpowiednich słów patrząc na nogi kobiety obute w ciężkie buciory lśniące wilgocią.

— Strzeliłem. Strzeliłem tak, żeby nie zabić.

Kobieta wybucha płaczem. Odwraca się tyłem do nas wszystkich i płacze w rękaw. Lewą ręką szuka na oślep torebki, której nie ma na stole.

— Co to znaczy, że strzeliliście nie zabijając? Skąd wiecie o skutkach tego strzału? — pyta z sali ten sam głos.

— Wiem, bo nie chciałem zabić.

— Ale strzelaliście?

— Wiem na pewno, że nie zabiłem.

— A dlaczego nie chcieliście zabić, skoro poszliście wykonać wyrok?

Milczę. Kobieta odwraca się i siada z powrotem za stołem, okrywając niezdarnie twarz dłonią. Z ogromnym wysiłkiem staram się przypomnieć. I nie mogę. Wiele w życiu widziałem takich zdartych przez zgryzotą twarzy.

— Wtedy już nie chciałem zabić — powtarzam cicho.

— Ale poszliście z bandyckim zadaniem?

Stoję znowu twarzą do sali. Wiem, że już nie ma powrotu. Przeżywałem tę godzinę po wielokroć w bezsen-nych nocach, ale dziś przeżywam najciężej. Boli mnie głowa. Ręce są tak ciężkie, muszę je oprzeć o mównicę.

— Jednej nocy nasz patrol szedł do wsi po żywność. Złapali ich ludzie z bezpieczeństwa. Wzięli żywych. Łamali im ręce na drabinkach od sań, a potem oblewali wodą. Wtedy były silne mrozy. Nasi zamarli tak po-środku wsi. Stali kilka dni. Później musieliśmy ich odra-
~~bywać od ziemi, wylamywać ciała z lodu.~~

— To nieprawda. Nasz tak nie postępowali! — krzyk-
nął ten z sali. — przyznajcie się, że kłamiacie.

— Ja nie kłamię.

— Propaganda. Bandycka propaganda.

— Sam widziałem.

Wstaje sekretarz. Przekłada chwilę ołówek na swoim stole.

— To tragiczne sprawy — mówi. I chyba nie tutaj o nich trzeba mówić.

— Właśnie — odzywa się ten z sali. — On musi podać wszystkie okoliczności. Jego oddział może do dzisiaj istnieć.

— Tak, tak, macie rację — zgadza się sekretarz. — To każdy rozumie, że kiedy się człowiek decyduje, musi wyciągnąć wszystkie konsekwencje ze swego postanowie-
nia, prawda?

Patrzy na mnie wyczekująco.

— Ja powiedziałem — mówię z męką. — Nie mam nic do dodania. Nie chcę pamiętać o tamtych czasach. Nie

H na zadanie
Wybili
wszystkich
co do
jednego.

ślicie, że jesteście lepsi od innych?

— Ale broń Boże, panie torowy. Ja mam wykształcenie domowe — rzekł skwapliwie Pac. — Tyle, że pisać i czytać umiem.

— A te książki po co w mieszkaniu trzymacie?

— Ja nie wiem, skąd się znalazły. Może ktoś podrzucił. Miałem trudne dzieciństwo, panie torowy. Skąd mi do uniwersytetów.

— Już wy mi tu się nie zapierajcie. Ja takiego gryzi-piórka od razu poznam.

— Tak, to prawda — westchnęła pani Malwina — od książek to niejednemu mózgi pomieszało. U nas, na wschodzie, był taki koło Ejszyszek, co całymi dniami książki czytał i czytał. A później raz odzywa się do ludzi, że ziemia kręci się nawokoło słońca. Śmieliśmy się z niego, biednego, i nie wiedzieliśmy, że w domu wariatów skończy. Bo jak przyszła wojna...

— Na krowę lepiej uważajcie — przerwał niechętnie torowy. — Już piąty placek położyła na szynach.

— Ach, Boże — przerwała pani Malwina i skoczyła żywo ku swojej żywiolę, która stała pośrodku torów z uniesionym ogonem.

Torowy chciał coś jeszcze powiedzieć, ale machnął tylko ręką z rezygnacją i poszedł w stronę swego biura, powtórzając nogą.

Partyzant patrzył za nim spluwając w dłonie.

— Ot, stara pierdoła rewolucji!

Torowy odwrócił się gwałtownie.

— Co mówicie, Krupa?

— Mówię: stara pierdoła rewolucji — powiedział głośno, ale niewyraźnie partyzant.

Hrabia chichotał gryząc stylisko kirki. Bał się objawić swoją radość, więc tylko podrygiwał spazmatycznie ramionami i patrzył wytrzeszczonym okiem na torowego, który jął bezmyślnie zapinać swój chałat.

— Nie słyszę, Krupa.

— To nic ważnego. Przy okazji powiem.

— Ja was dobrze znam, Krupa — rzekł bezradnie torowy. Chwilę wahał się, w końcu ruszył jednak do swojej kleci, oglądając się nieznacznie na nas.

Pani Malwina przyciągnęła nieposłuszną krowę i mocno zadyszana powiedziała:

— Nieładnie tak mówić o człowiek. On jaki jest, taki jest, ale swoje przeżył.

Partyzant wrócił do pracy, hrabia Pac uczynił to samo, poprawiwszy przedtem z kokieterią swoje zlepięne włosy.

— Pan nietutejszy — rzekła do mnie Korsakówna. — Pan nic nie wie. A on podczas wojny w komunistycznej partyzantce był i w tutejszych lasach bił Niemca. Potem, jak nastali jego czasy, to rządził całym miasteczkiem. A później, panie, poszedł do góry, do miasta wielkiego wyjechał. Srogi, och srogi był do ludzi. Może dlatego, że rodzinę mu źli ludzie wybili. I żył tam gdzieś w mieście na wielkiej posiadzie, ale później wrócił. Odprawili go, bo podobnie wykształcenia wielkiego nie posiada. Tak to i jest.

Szyny, pod uderzeniem kirek, dzwoniły czysto i przejrzysto. Ich śpieszny głos wypełniał ciasno drzemającą dolinę.

— Tak to i jest — powtórzyła pani Malwina. — Dziwny człowiek, oj dziwny. W sobotę, bywa, jak wyjdzie, to wróci w poniedziałek. Gdzie chodzi i po co, nikt nie wie. Jedni mówią, że mogiłę nawiedza, inni plotą, że wódkę w samotności pije. Tak to i jest.

Słuchając śpiewnego i trochę sennego zawodzenia pani Malwiny błakałem się wzrokiem po dolinie przesyconej szarym pyłem. Spostrzegłem wtedy nieoczekiwanie jakiś w miarę ruchliwy obiekt wynurzający się z nadrzecznych krzaków. Był to Romuś. Jego ewolucje zdradzały jednak stan silnego wzburzenia. Przypominał w tych manipulacjach waleczącego z wartkim nurtem rzeki.

H S

H S

Z H fajca

H fajca

kliwie na palcach, odpowiada mu podobnie ktoś z ostatnich snów.

Mimowiednie zdejmuję czapkę.

— Wiozę chłopców od Kmicica — mówię. — Złapali ich przedwczoraj i zamrozili w jeziorze. Wiozę teraz po wsiach na postrach.

Sanie najeżone zeszytyniałymi ramionami i bosymi stopami, na których mieni się odbite w lodowej skorupie światło księżyca, zanurzają się w lesie.

Oni także zdejmują czapki. Cichy zaczyna żegnać się szeroko, z ruska. Bije pokłony zamrażniętym partyzantom, czyni to z jakimś zwierzęcym zapamiętaniem niczym kornajacy nosorożec, który kuje łbem obojętną ziemię.

Trwamy tak długi czas, choć pochod pogrążył się już dawno w lesie.

— Zrobią i nam anumlik — powiada półgłosem Cichy. Wiem, że z nim już niedobrze.

Wstają z kłęczek i bez ochoty wracamy na drogę, a potem dalej przed siebie w szpalerze wilczego wycia.

Przed czwartą weszliśmy na odgałęzienie drogi wiodącej do folwarku. Sokół schylił się nad stratowanym śniegiem.

— Opony — mówi. — Tędy jeździły niedawno ciężarówki.

— Pewnie przyjeżdżają po mleko.

Milknie, ale wiem, że nie jest przekonany. Idziemy coraz ostrożniej wzdłuż nagich krzaków olszynowych ku kępie drzew, wśród których skryty śpi folwark. Stawiamy stopy lekko jak ptaki. Gdyby to było możliwe, poszybowałibyśmy wysoko nad tą śnieżną drogą.

W niewidocznych zabudowaniach odzywa się pies. Oczywiście przystają natychmiast.

— Do księżyca szczeka — powiadam. — Czego stoicie?

— Gdzie masz księżyc? — Sokół wskazuje niebo.

Rzeczywiście. Obrzeżone światłem chmury zakryły już połowę nieboskłonu.

Ruszamy dalej. Gałęzie czepią się kożuchów. Ociężała senność przyniata plecy. Zasypiam na ułamki sekund i wtedy jawią się fragmenty dzieciństwa, zdarzeń domowych wypełnionych ciepłem i spokojem.

Sokół staje. I milczy.

— Co znowu? — pytam.

— Widzę światełko — powiada ze złością.

— Gdzie?

— Tam, pod tym drzewem.

Stoimy chwilę nieruchomo.

— Aha, jest — mówi Cichy.

— Ja nic nie widzę.

— Trzeba poczekać, aż zaciągnie się dymem, wtedy zaryzykuje się papieros.

Mają rację. Przez moment mignął czerwony punkcik utopiony w czerni drzew. Namyslałem się krótko.

— Trzeba iść. Musimy sprawdzić. Może nam się wydaje. A może to stróż nocny.

Milczą i w ich milczeniu jest niechęć bliska nienawiści.

— Ślady ciężarówek i wartownik, który pali papierosa. Mało ci? — pyta szeptem Sokół.

Odwracam się, idę ku zabudowaniom. Wiem, że mnie nie zostawią. Znowu błyska krwistym różowym obłoczek pod drzewem. I wtedy nagle chwytam uchem jakby stłumiony płacz wielu ludzi.

Zaczynam pełznąć w kierunku tego ognika. Chronią mnie olszyny, lecz dalej niepodobna już czołgać się, czerwony kłęb pojawia się o kilka kroków ode mnie. Rozróżniam nawet głuche przytupywania nóg obutych w walonki, słyszę szczęk pepeszy o metalowe guziki.

Odwracam się i szukam mego patrolu. Ale dokoła tylko śnieg i nagie witki olszyn. Czyni się coraz ciemniej.

Muszę ryzykować.

— Sokół, Cichy! — syczę osłoniwszy usta dłonią.

— Pan wie, o co mi chodzi — powiedziałem z trudem. Uśmiechnął się krzywo. Widziałem, że jego lewy policzek zaczął drgać pośpiesznym skurczem. Oczy rozszerzyły się, lyskając żółklymi białkami.

— Chcesz, żebym ci powiedział, że to ja jestem tym człowiekiem, którego spotykałeś ciągle w swoim życiu.

— Tak, chcę tego.

— Więc dobrze. Pokażę ci ślad twojej kuli — sięgnął ręką do rozcięcia koszuli na piersiach. — Opowiem, jak leżałem ranny na podłodze i słuchałem płaczu dziecka. Jak moje wołanie przechodnie brali za krzyk biesiadnika świątecznego stołu. ~~Jak zajęchali przed moim domem anka-
wudziści, którzy w saniach wieżli zamarznętych party-
zantów Kmicica. Jak jechałem do powiatu wśród złodo-
waciących trupów zlizując z ich rąk puch śnieżny, bo
męczyła mnie gorączka pełna majaków i zwidów.~~ Przy-
pomnę ci wszystkie nasze spotkania, kiedy w twoich
oczach widziałem zaszczucie podobne memu, kiedy prze-
czuwałem, że los nas złączy i będziesz mnie szukał do koń-
ca życia, jak ja szukam swego oczyszczenia.

— Byłeś kiedyś inny.

— Byłem i zawsze jestem ze słabszymi.

Słuchałem siebie zdziwiony, że nie odczuwam ulgi. Zda-
wało mi się, że w tym mrocznym pokoju wyczerpaliśmy
cały zapas tlenu i grozi na uduszenie.

— Czego chcesz jeszcze ode mnie? — spytał z trudem.

— Nie wiem. Chyba już nic. Choć zupełnie inaczej wy-
obrażałem sobie tę chwilę.

Za oknem tułał się głos klarnetu wymieszany z poszu-
mem rzeki. Podłużne pasmo blasku słonecznego dopeźli-
o już do drzwi do sieni i jęło się wspinać na szerniałe deski
sosnowe.

— Szukałem ciebie i jego od lat. Najpierw w pamięci,
potem w opowiadaniach ludzkich i w szpaltach gazet.
Każde nazwisko zdawało się waszym. Potem zacząłem
was szukać w małych miasteczkach podobnych naszemu,
które opuściliśmy wszyscy na zawsze. To, co dotychczas
przeżyłem, to garstka kamieni wydobytych z dna rzeki.
Będę je już na zawsze układał w coraz to nowe konste-
lacje i szukał sensu, który tym rządzi.

Gdzieś za ścianą przez chwilę tupotały czyjeś nogi. Spoj-
rzeliśmy obaj w okno. Przez zawijasy winogrodu sączył
się migotliwy żar pachnący spalenizną. Potem czekaliśmy,
aż otworzą się drzwi i w progu stanie ona. Trwało to
bardzo długo. Jego czoło pod czarną, kędzierzawą czupry-
ną pokryło się gęstym osądem potu. Ponieważ nic się nie
stało, więc zbliżyłem się do niego i wyciągnąłem rękę.

— Dziękuję ci — rzekłem i zabrakło mi naraz słów. On
jednak nie podał mi dłoni. — Dziękuję — powtórzyłem.

— Za co mi dziękujesz?

— Chciałem cię koniecznie spotkać.

Przyłożył dłoń do policzka, który trząsał się spazmatycz-
nie.

— Widzisz — rzekł chrapliwie. — Mógłbym cię okła-
mac i zostawić rzecz, jak jest. Ale przecież ty nie potrze-
bujesz łatwej pociechy, prawda?

Milczałem próbując rozerwać zlepione wargi. Serce za-
częło mi bić w pośpiesznej arytmii.

— Nie jestem tym człowiekiem, którego szukasz. Ponie-
waż widzę twój lęk i bezbronność, mógłbym z łatwością
upewniać cię, że uczestniczyłem w twoim życiu. Ale myślę,
że lepiej będzie, gdy rzeczywiście odnajdziesz to, co jest
ci potrzebne. Dlatego idź w dalszą drogę, może już jesteś
blisko.

— Klamiesz! — krzyknąłem.

Wyszczerył nagle zęby, jakby powstrzymując ogromny
ból.

— W każdym człowieku będziesz widział tych, których
skrzywdziłeś. Każda twarz wyda ci się znajoma, w każdej
odnajdziesz rysy zgrzyoty, której ty przysporzyłeś. Wiem,
co cię gna z miejsca na miejsce? Mam ci powiedzieć?

Schwyciłem go raptem za koszulę na piersiach, lecz on
rzucił się do tyłu z niesłychaną siłą i stał chwilę chwając
się, z wyszczerzonymi dziwnie zębami. Uderzał konwul-
syjnie dłonią uzbrojoną w linijkę po wymiętych spod-
niach, jakby chciał je otrzepać z prochu. Potem zabełkotał
i całym ciałem, jakimś kanciastym ruchem, zwałił się na
drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju. Drzwi chwilę
chybotały, a potem przywarły do futryny.

szpalta szpalta 78

— Już ja znam waszą wilczą solidarność. Dlaczegoż ty skrywasz, że byłeś u Huniadego?

Partyzant wstał nagle zza stołu.

— Nikomu nigdy nie zdradziłem, słyszysz ty, *enkawu- dzista?* Odszedłem wtedy, bo taki był rozkaz z Londynu. Kto chciał, mógł wracać do domu.

— A nie szukał cię potem Huniady?

— Ciebie szuka dziś. Dlaczego nie nocujesz w swoim domu?

Pani Malwina schwyciła partyzanta za marynarkę i pociągnęła z powrotem na krzesło.

— Panowie najmilsi, po co zaraz ta polityka? Z polityki nigdy nikomu nic dobrego nie przyszło. Ildeczek, dziecko biedne, zaśpiewaj coś lepiej.

Ildefons Korsak, który ocknął się z ciężkiej zadumy, instynktownie sięgnął po pełną szklanceczkę.

— Ach nie to, ty choreńki, lepiej zaśpiewaj panom.

— Czemu nie, mogę zaśpiewać, ale tylko po rosyjsku.

— Boże ty mój, czy ty innych pieśni nie umiesz?

— Nie.

— Po różnych wojskach służyłeś, tyle świata widziałeś, a śpiewać tylko po rosyjsku potrafisz?

— Wszystkie ładne, ale ruskie najpiękniejsze — rzekł z uporem pan Ildefons.

— Co tam czas marnować na pieśni — zawołała z ożywieniem Korsakówna, widząc że brat sposobi się do występów. — Lepiej wypijmy.

— No to abyśmy — odezwał się torowy modulowanym przejmująco głosem.

Na chwilę rozmowy zamilkły i wtedy rozległ się loskot furki. Ktoś biegł szybko przez podwórze. Sierżant Główek, który nie zdążył jeszcze przełknąć wódki, schwycił czapkę z parapetu okiennego i z niezwykłą wprawą schował się za kredens. Do izby wpadły dzieci, chłopczyk z dziewczynką. Zatrzymały się przy progu porażone światłem lampy.

— Czy jest tata? Mama kazała, żeby zaraz wracał — rzekł chłopczyk, obserwując ze znanstwem sponiewierany już trochę stół.

Nikt nie mógł zdobyć się na odpowiedź, więc wszyscy patrzyli sobie bezradnie w oczy. Wreszcie pani Malwina, widząc krytyczną sytuację, odezwała się słodkim głosem:

— Nie było tu waszego ojca. Pewnie jeszcze na służbie, biedny — i zakrzuszyła się straszliwie czy to trunkiem własnego wyrobu, czy wymijającą odpowiedzią.

Dzieci powstały chwilę niezdecydowanie, częstowane przez biesiadników fałszywymi uśmiechami, wreszcie znikły w mrocznej sieni i potem słychać było tylko gwałtowny tętent ich bosych stóp.

— Merci — powiedział ze smutkiem sierżant Główek wyłaząc zza kredensu. — Boże, Boże, co za hańba. Przed własnymi dziećmi chować się po kątach... Ech, ta hara przekłeta.

Siadł z rezygnacją z powrotem do stołu i sięgnął po pełną szklanceczkę.

— No to abyśmy — odezwał się torowy, akcentując każdą sylabę. Wlał płyn ostrożnie do gardła, z tradycyjną elegancją, tak, aby grydka nie zagrała wulgarnie, i wysoko uniosłszy głowę przymknął na moment powieki. Potem otworzył je wolno, spuścił głowę i wstrząsnął się dmuchając siarczęście.

— Dziękuję za poczęstunek — rzekł i skłonił się obecnym głęboko. Przy okazji podniósł czapkę służbową z ziemi. — Ja to lubię tak trzy, cztery kieliszeczki.

I zaczął starannie przymierzać się do drzwi. W końcu złapał równowagę, ustalił należyty kierunek, ruszył ostro do wyjścia.

— Wcześniej zgorzał — stwierdził beznamiętnym głosem partyzant.

W sieni zadzwoniły jakieś blachy. Pani Malwina uśmiechnęła się z wyrozumiałością.

— Wszedł do wanienki.

— Nie szkodzi, trafi gdzie trzeba — powiedział hrabia Pac. — On jeszcze sam przed nocą poprawi ułanem.

Ildefons Korsak, który cały czas obserwował bacznie sok ogórkowy ściekający ze stołu, zaśpiewał nagle pierświowym głosem:

Parachodzik idźtot wiemi parami:

Budim rybu kormit kamisarami.

— Cśś — syknęła pani Malwina — czy ty stoć głowy do kanawy spad!? Matko Przenajświętsza, on pewne znowu choreńki. U niego kiszeczki jak u okonia. Ledwo wypije kieliszeczek, już na niego jakaś mistyka przychodzi.

— Dobrze śpiewa. Niech śpiewa — rozkazał partyzant.

— Nie! Broń Boże! — krzyknęła pani Malwina. — Ach

tach piszą?

Milczeliśmy niepewnie, wreszcie partyzant mruknął:

— Hrabia jeden czyta. Niech on powie.

— Ostrzegam, że nie jestem hrabią — poczerwieniał Pac. — Czasem czyzytam, jak wpadnie przypaadowo dodo ręki.

— Nie krępujcie się — rzucił sierżant Główko. — Gazety, z przeproszeniem, można czytać.

— Wszystko po staremu. Znowu wystrzelili sputnika.

— Kto? — spytał Główko.

Hrabia zamrugał oczami:

— Rosjanie.

— Aaa — rzekł z aprobatą sierżant.

— U nas na wschodzie, panie, też był taki jeden, kowal Hołobla. Ach jaki zdolny, jaki uczony, po trzydzięści worst ludzie do niego jechali. Mógł, panie, odrynąć ze złota pobudować, a on, panie, nie i nie. Ciągłe tylko przez takie wielkie okulary po nocach na księżyc patrzył, w dzień, panie, kuł i kuł bez chwili odpoczynku. Taką maszynę stroił wielką ja stodoła.

— No i co? — wtrącił się sierżant.

— No i znikł jednej nocy.

— Pewnie poleciał na księżyc? — spytał szyderczo partyzant.

Malwina Korsakówna spojrzała nań z powagą.

— Może i poleciał, jeśli to w ludzkiej mocy.

— Ech, ciemnota — rzekł niepewnie Główko.

— A cóż my tam wiemy, co było albo co będzie? Mało to bywa, że zjawi się dziwny człowiek między nami, pożyje i znika bez śladu. Pamiętam, u nas pod Ejszyszkami...

— Daj pani spokój przed nocą — wzdrygnął się sierżant. — Lepiej wypijmy.

— Co też nasza Regina teraz robi? — westchnęła Korsakówna. — Może gdzieś daleko pojechała, do obcych krajów, może już wielką panią została.

— Wypijmy — powiedział partyzant.

— Dobra to była kobieta i jaka piękna. Wszystko u niej na miejscu i tak trzeba. To nie to, co te dzisiejsze. Idzie taka, panie, i nie wiadomo chłop czy baba.

— Wypijmy — powtórzył chmurnie partyzant.

— Widać tak było sądzone. Może kiedyś o niej posłyszemy, da Bóg.

— Wypijmy — rzekł jeszcze raz partyzant, lecz nie pił, zapatrzony w mętną szklankę z rozhuśtaną wódką.

Wychyliłem ukradkiem swoją miarkę i było mi dobrze. Myślałem, że drzemię w domu rodzinnym przy gorącym piecu słuchając przez płytki sen, przez wąskie dukty jawy, pogwarek wieczornych.

— Dzieci lecą — krzyknął naraz hrabia.

Sierżant Główko zaskoczony zrzęcznie skoczył znowu za kredens z niedopitą szklanką. Walczył tam z przyspieszonym oddechem i widać było, że rychło zakaszle.

— Tata jest? — spytał chłopczyk.

— Idź spać, dzieciątko — rzekła ze słodyczą pani Malwina. — Gdzie wam, biednym, badziać się tak po nocny. Masz tu gościniec, ogóreczek tegorocznego kiszenia.

— My już po kolacji — rzekł chłopczyk.

— Idź, idź, co dobrego zginie, ale tata się znajdzie.

Dzieci wybiegły. Sierżant Główko wrócił do stołu naburszony. Odstawił szklankę.

— Pani jak ze wschodu, to pewnie myśli, że wszystko wolno.

— Tak powiedziałam, bo z dziećmi trzeba umieć, dziecko swój rozum ma.

— Ale to jakoś nieładnie.

Na stale bliny, pod statom kasza:

8) Nie dumajcie Zydy, czto Rassija wasza

8) E. S. Jabłoczek, kuda katisz ma?
Papadion v GPU, nie warotisz sja

—
Podszedłem do okna: tylko w niektórych domach chybo-
wały płomyki świece.

Otworzyłem drzwi wiodące na werandę, która kryta by-
ła czerwoną blachą. Deszcz łomotał tu z całych sił o dach
niski, będący zarazem sufitem. Mogło się zdawać, że nad-
chodzi wiosna z porywczymi ulewami. Ale chłód dokuczli-
wym swędzeniem wspinał się po nogach, szyby od we-
wnętrznej strony okrywała gruba warstwa potu.

— Zobaczą tylko, czy ona czeka — powiedziałem sam
do siebie.

Gdzieś w gęstej od deszczu nocy zadudniło jak prze-
jeżdżający pociąg. Brzęknęły cicho szyby, drgnął stół. Zna-
lazłem w kącie płaszcz i wyszedłem przed dom.

Dokoła świergotały liczne strumyki ściekające śpiesz-
nie ku drodze wypełnionej zimną breją. Uniosłem twarz
ku górze, łowiąc ustami gęste krople deszczu. Piłem gorz-
ką wodę smakującą kamieniem, powoli wracała trzeźwość.

Ruszyłem w stronę rzeki, która huczała niczym młyn
wysoki do samego nieba. Ledwo minąłem kolej, gdy spo-
strzegłem przed sobą coś na kształt snopka słomy pędzo-
nego wiatrem.

— Kto tu? — spytałem. — Kto idzie?

— Ja — odezwała się niewielka postać. — Ojciec Ga-
briel.

Oświetlił latarką siebie i zobaczyłem ceratowy płaszcz
do samej ziemi, śpiczasty kaptur, a w jego wnętrzu infan-
tlną, pomarszczoną twarz zakonnika.

— Chyba raczej Archanioł Gabriel — powiedziałem.

Zaśmiał się skwapliwie.

— W razie czego prosimy pana do nas, my wysoko, tam
woda nie dojdzie.

Nagle uczyniło się przeraźliwie jasno i grom z ciężkim
stęknieniem zarył się w Borze Sołeckim.

— Dziwny rok. Mówią, że to ostatni — rzekłem, kiedy
się uciszyło.

— Czekają tak od wieków — powiedział zakonnik. —
Każde pokolenie miało wyznaczony swój dzień sądu.

— W moich stronach rodzinnych Żydzi ostatniego dnia
roku według ich kalendarza gromadzili się po bóżnicach
i modlili całą noc. Dzień ten nazywał się sądnym dniem.
Do dziś pamiętam ten płacz, tę rozpacz, to przejmujące
upraszanie Boga o prolongatę.

— Niech pan przyjdzie do nas któregoś dnia. Pokażę
panu ich piękne naczynia liturgiczne i stare księgi. Oca-
łało coś niecoś z wojny.

— Oni tu mieszkali?

— Jednego dnia Niemcy wywieźli do Podjelniaków
i tam, pod tą górą zamkową, rozstrzelali wszystkich bez
wyjątku. Stało się to późną jesienią, może właśnie w sądny
dzień.

— Nie spotkałem tu żadnych śladów.

— Był ich cmentarz wiekowy, ale zbrano go i zabrono-
wano, dziś już nikt nie odróżni nawet miejsca.

— I nic nie zostało z ich życia?

— Czy coś zostało? — powtórzył zakonnik. — Chyba
tylko ten bór, ta rzeka, te wzgórza, na które oni patrzyli.
Znowu łysnęła zielonkawa błyskawica, czekaliśmy, aż
porun wynajdzie sobie wreszcie legowisko.

— Niech pan przyjdzie do nas — powiedział zakonnik.

— Wszyscy mówią do mnie w ten sposób.

— Słucham? Nie rozumiałem.

— Nic ważnego. Dobranoc.

— Proszę uważać. Rzeka wzbiera. Rankiem dojdzie pod
kolej.

— Dobranoc.

Soła huczała w ciemności. Kuśtykałem z wyciągniętymi
przed siebie rękami naprzeciw tym odgłosom dartej żyw-
cem ziemi. Tak wszedłem między nagie drzewa sadu szar-
pane wiatrem. Poszukałem wzrokiem białej wiśni, lecz jej
już nie było. Jesienny deszcz odarł kwiaty.

*Podczas
obserwacji*

Vla

— Kopnąłeś mnie, Romuś.
Uśmiechnął się sennie, lecz oczy pozostały nieruchome.
— Ja? Pana?
— Tak, kiedy przyszia powódź.
— Nie rozumiem, o czym pan mówi.
— Koło pustego domu. Kopnąłeś mnie i Szafira.
Jedną dłonią turlał po stole ciemny wałeczek z chleba.
— Szafir od dziesięciu dni leży chory — powiedział. —
Bardzo ciężko chory.
— Romuś, kręci mi się w głowie. Co ty mówisz?
— Mówię, że Szafir nie wychodzi z domu. Kiepska jego
sprawa.

Zacząłem trzeć ręką odrętwiałe czoło, chcąc sobie coś
koniecznie przypomnieć.

— Trzeba do niego zajść. Muszę mu coś koniecznie po-
wiedzieć, rozumiesz, Romuś.

— Niech pan tam nie idzie. Teraz nie wolno.

Pani Malwina poruszyła się na taborecie.

— Ach, Boże, jaka cisza, aż przeciwnie słuchać. Męż-
czyźni, no, mężczyźni, zaśpiewajcie albo powiedzcie coś we-
sołego. Taki dziś szczęśliwy dzień.

Siedzieliśmy bez ruchu w okopconym świetle małej za-
rówki. Wiatr szamotał się za ścianą, czasem wrzucał przez
otwarte drzwi garść rozmiękłych liści. Pod kapotą torowe-
go dawał znać o sobie Ildelfons Korsak przejmującym bur-
czeniem żołądka.

Sierżant Główko zebrał się w sobie i wstał z najwyż-
szym trudem.

— Merci — rzekł. — Aż strach do domu wracać. Ech,
życie, życie.

Postać niepewnie, jakby oczekując naszej interwencji,
a potem ruszył chwiejnie w stronę drzwi. Po kilku pró-
bach wydostał się wreszcie w ciemną, dżdżystą noc.

Wychodzili kolejno wszyscy, ja także wstąpiłem w mrok
pełen chłodu. Odnalazłem tory i wlokąc prawą nogę wzdłuż
szyny poszedłem pewnie w stronę domu.

Wkrótce jednak ktoś mnie dogonił. Skulona postać szła
jakis czas bez słowa.

— Romuś? — spytałem.

— Proszę bardzo. Fatalna noc. Znowu Soła przybierze.

— Nie to ja, partyzant. Można z panem?

— Mh — mruknął myśląc o czym innym.

Maszerowaliśmy długo, odwracając twarze przed wia-
trem, który ostro ciął lodowatym deszczem. Wreszcie, tuż
przed miasteczkiem, partyzant stanął nieoczekiwanie.

— Mam do pana jedno pytanie — rzekł.

— Słucham.

Czułem, że się waha i namyśla, jak by ułożyć słowa, któ-
re chciał wypowiedzieć. Krople deszczu bębniły bezwstydn-
ie na naszych odkrytych głowach. Zimne strugi ściekały
po włosach za kołnierz. Wzdrygnąłem się i zwilżyłem języ-
kiem obrzmiałe, kostropate usta.

— Czy pan wierzy, że ja jestem Żyd?

Ruszyłem przed siebie. Szedł za mną dokładnie po moich
śladach i czekał na odpowiedź. Skręciłem w lewo, na dro-
gę, która wiodła do domu.

— Niech pan odpowie — rzekł cicho.

Zatrzymałem się raptownie. On stanął o pół kroku prze-
de mną.

— Ja też jestem Żydem — powiedziałem.

Zaśmiał się nieszczerze.

— Pan żartuje. A ja pytam poważnie.

— Jeśli pan się zastanowi nade mną, to zrozumie, że nie
żartuję. Jestem Żydem, bo nie mam swojej ziemi, bo tu-
łam się z miejsca na miejsce, bo nikt nie rozumie mojej
mowy, ~~bo można mi napluć w twarz~~ jestem Żydem, bo
można mnie bezkarnie ukrzyżować na każdym przydroż-
nym słupie telefonicznym.

Stał czekając, że jeszcze coś powiem. Gdzieś w górze,
za klasztorem, szumiał wzniośle las. Uderzenie deszczu
przegrodziło nas raptownie. Odwrócił się i poszedł w noc
swoją drogą.